



Henryk Cyprian Konkol

WIATR WE WŁOSACH



Henryk Cyprian Konkol

WIATR WE WŁOSACH

© Copyright by
Henryk Cyprian Konkol

Projekt okładki:
e-bookowo

ISBN e-book 978-83-7859-618-9
ISBN druk 978-83-7859-632-5

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie II 2015

Trzeba mieć odwagę być inną kobietą.

Henryk C. Konkol

Rozdział pierwszy ***Cała ja***

Będąc jeszcze w oparach snu – przed chwilą przytulona do mojego Kuby – wyskoczyłam spod kołdry i ledwo trafiłam w wygodne domowe kapcie, a świadomość bycia odczułam, zderzywszy się z drzwiami łazienki. Pozwalając sobie na namiastkę samokrytyki, przyznaję, że zasnęłam. Nie słyszałam także rozrabiającej w łazience Zosi ani charakterystycznych odgłosów rozpoczynającego się dnia. Nie słyszałam terkotania olbrzymiego, zabytkowego budzika, prezentu od Mamy mojego Kuby z prostej przyczyny niedopełnienia wieczornego rytuału włączenia go przed położeniem się do łóżka. Pierwszy raz będę spóźniona w pracy. Pal licho. Praca nie ucieknie, a moje stanowisko w hierarchii firmy pozwala od czasu do czasu na minimum komfortu. Pocieszam się, spoglądając na zegar, że o tej porze wszystkie skrzyżowania i drogi komunikacyjne do centrum powinny być w miarę przejezdne, wolne od codziennych, kilkukilometrowych korków i przeleceć odległość kilkunastu kilometrów w odpowiednim czasie. Niestety, było to marzenie ściętej głowy, o czym dobrze wiedziałam.

Pomimo pośpiechu nie zaniedbałam codziennych zabiegów odpiększających – to nie pomyłka – odpiększających, gdyż moje śliczne usta nie zażyły rozkoszy silikonowej pomadki, długie, czarne rzęsy zakrywające

muślinową firanką moje, w zależności od oświetlenia i nastroju, szaro–niebiesko–zielone oczy nie potrzebowały, i do dziś dzień nie potrzebują, żadnej mascary. Zdaję sobie sprawę, że moja twarz, przesłonięta delikatną mgiełką patyny czasu, jest naturalnie piękna, chociaż dochodzą mnie słuchy, o wyrażaniu, nie tylko przez pleć odmienną, diametralnie różnej opinii na temat mojej osoby.

Wypucowana lala.

Dobrze utrzymany zabytek.

Z tyłu liceum... i tak dalej.

No cóż, trafiają się malkontenci, którym zawsze wiatr w oczy, niezależnie z jakiego kierunku podwiewa, ale oblizują się jak kocury na widok szparki, widząc dziewczynę o odpowiednich warunkach.

Ciasno upięte na kształtnej głowie długie, proste włosy połyskują jeszcze naturalną zmatowiałą czernią, co zawdzięczam nie tyle drogim szamponom, co naturze, która, sama nie wiem z jakiego powodu, obchodzi się ze mną jak ze zgniłym jajkiem. Wciskam szary sweterek i obcisłe do nieprzyzwoitości białe jeansy spięte szerokim paskiem podkreślającym szczupłą talię i uwydatniające to i owo. Ostatnie spojrzenie w lustro, ależ jestem próżna, wpadam do kuchni, wykrzywiając twarz w kwaśnym grymasie, wypijam szklankę niesłodzonego soku z grejpfruta, z rozmysłem trzaskam wyjściowymi drzwiami, może mój Morfeusz się obudzi, i już jestem przed domem. Samochód, szary Smart, czeka spokojnie

w obszernym garażu. Otwieram bramę pilotem, zwalniam sto koników, niech sobie pohasają, i wyskakuję jak diabeł z pudełka na pustą o tej porze ulicę. Wykręcam jakiemuś zagapionemu kierowcy przed maską jego terenowego volvo i po chwili znikam w perspektywie szerokiej ulicy, zadrzewionej wiekowymi paklonami, pomiędzy którymi rośnie kilka wybujałych, miododajnych lip. Droga wolna. Przede mną ponad dwadzieścia kilometrów asfaltowej, dobrej drogi, można podgonić, gdy wokół żadnego ruchu. Przed samym centrum natrafiam na monstrualne korki oraz czerwono-zielone światła regulacyjne znakomicie spowalniające jazdę. A jednak mieszczę się w limicie czasu. Przelatuję przez rozpięte nad rzeką dwa skorodowane, kratownicowe mosty, pamiętające lepsze czasy, wjeżdżam w willową dzielnicę wymyślnych domków schowanych za parawanami krzewów i kunsztownymi ogrodzeniami.

Jak zawsze z fasonem zajeżdżam na moje ulubione miejsce na olbrzymim parkingu przed Firmą. Jestem spóźniona tylko... dwadzieścia minut.

– Dzień dobry, pani inżynier – wita mnie sympatyczny strażnik, pan Berndt i życząc mi miłego dnia pracy, otwiera wielkie, oszklone drzwi. Tutaj wszystko jest odpowiednio wielkie albo przynajmniej duże. Nic pośredniego.

Pan Berndt jest kulturalnym, nie tylko z powodu otwierania i przytrzymywania drzwi, bardzo oczy-

tanym starszym panem, czekającym dnia odejścia na zasłużoną emeryturę po czterdziestu latach nienagannej pracy, z czego ponad dwadzieścia w służbach specjalnych DDR-u. Po upadku muru przeprowadził się do zachodniej części miasta, licząc na lepsze zarobki oraz świadczenia socjalne. Zawsze to kilkanaście procent więcej do kieszeni. Pan Berndt jest jedynym spośród zatrudnionych w Firmie mężczyzn, który otwiera mi drzwi, przepuszcza przed sobą, pozdrawia miłym „dzień dobry” i żegna, gdy wychodzę skonana po pracy do domu, życząc miłego dnia. Stara szkoła, a może czytał kodeks „Grzeczność na co dzień” profesora Kamyczka. Kto wie? Nie pytałam.

W hallu ruch, jak na Kudammie¹, interesanci, kilku komiwojażerów, Postbote¹ z DHL z żółtym, plastikowym kartonem pełnym codziennych gazet, fachowych miesięczników i plikiem korespondencji z całego świata. Personalną windę omijam wielkim łukiem, wybieram szerokie schody pokryte szorstkim, czerwonym dywanem. Trzecie piętro to nie Tatry, lecz codziennie pozbywam się kilku nadprogramowych gramów nadrabianych wieczorem podczas siedzenia przy komputerze, a gubionych w *Wochenende*², w czasie biegania wokół wzgórza Hanneberg³ Takie sportowe skrzy-

¹ Postbote (niem.) – doręczyciel przesyłek.

² Wochenende (niem.) – koniec tygodnia (piątek – niedziela).

³ Hanneberg – wzgórze (88 m) w dzielnicy Staaken powstałe po zlikwidowanej żwirowni, jest także mini rezerwatem, oraz punktem widokowym.

wienie, pozostałość i wspomnienie kilku lat ciężkiego treningu w sportowym klubie. W soboty biegam razem z moją piętnastoletnią córką i nie muszę się oszukiwać, Zosia jest dobra, a ja nie nadążam. W tym czasie Kubuś przygotowuje śniadanie oraz sobotnie niespodzianki z lodówki. Kochany jest ten nasz Stary.

Korytarz, chociaż trafniejszą nazwą byłby: krużganek, obudowany i zadaszony płytami z dźwiękochłonnego szkła, z którego roztacza się widok na hall, portiernię i wielki oszklony dach hal produkcyjnych z szeregiem zielonych, sterowanych komputerowo obrabiarek, a także ogromną pięćdziesięcotonową suwnicą w hali montażu, oraz nowoczesnymi kontenerami – biurami głównego inżyniera, technologa, majstrów, służby zaopatrzenia i biura konstrukcyjnego, gdzie przez kilka lat, siedząc przed komputerem, wykreślałam swoją drogę do sukcesu. Wzdłuż balkonu krużganka ciągnie się szereg solidnych, zielonych, drzwi do biur kierowników projektów, szefa produkcji i mojego biura. Te ostatnie zastaję szeroko otwarte. Kie lichy? Kto śmiał? Magnetyczna karta leży spokojnie w neseserze pomiędzy różnymi drobiazgami (co natychmiast kojarzę z usłyszonym kiedyś dowcipem: „Czego kobieta nie ma w torebce? Odpowiedź: porządku, bez których żadna kobieta nie może się obyć.”), a wewnątrz ktoś grasuje.

– Proszę wejść, jest pani u siebie, pani Vogel – dochodzi z głębi gabinetu.

Głos nie jest mi obcy, słyszę go codziennie przez in-

terkom, na naradach i spotkaniach z zagranicznymi przedstawicielami firm, także z Polski, gdyż jestem potrzebna nie tylko jako szef projektu, lecz również jako darmowy tłumacz, którego wypożyczenie kosztowałoby firmę sto euro za godzinę.

Naczelny musiał dostać cynk od strażnika, że raczyłam dojechać do pracy. Czeka rozparty w skórzanym fotelu, ze szklanką złocistego płynu w dłoni. Nie podejrzewam, że popija sok z jabłek.

– Dzień dobry – odzywam się niepewnie, bo skąd można wiedzieć, co sprowadziło go do mojego biura, dodaję kilka słów usprawiedliwienia i, kładąc neser na fotelu, siadam na krześle stojącym przed biurkiem.

– Nasze miasto nie jest przygotowane na postępujący lawinowo rozwój motoryzacji – rozpoczyna, odkładając szklankę na brzeg biurka. – Wszędzie zatory, wąskie gardła, brak szybkiej komunikacji z wyodrębnionymi pasami ruchu dla autobusów.

Ani słowa o moim spóźnieniu, sama słodycz i małmazja. Przypuszczałam najgorsze, nadrabiam wrodzonym tupetem, dziękuję mamusi za geny, przyłączając się do narzekań na komunikacyjny bałagan.

– W pełni podzielam. Moim zdaniem miastu potrzebna jest, oprócz metra, kolejka magnetyczna – wstawiam swoje spostrzeżenia dotyczące bałaganu powodującego spóźnienia tysięcy Bogu ducha winnych ludzi, w tym także mnie. – Sprzedajemy je do Chin, ponieważ państwu potrzebne są pieniądze...

– W Pekinie i Szanghaju jeżdżą szybko i wygodnie

naszymi magnetami, podczas gdy ja spóźniam się do pracy – narzekał dalej naczelny. – Kierowca nie może przepchać się przez zator na Friedrichstraße w czasie, gdy w Firmie czeka na mnie, delegacja... Właśnie z Chin! Co gorsza, spóźnia się także moja prawa ręka – dowiaduję się ze zdumieniem, że nagle awansowałam na jego prawą rękę. – I nie ma nikogo, kto przyjąłby szanowną delegację, a jakiś mądrała proponuje im śniadanie w kantynie. W kantynie! Chińczycy! Rozumie pani, co to znaczy? Narobiliśmy bigosu, pani Vogel, a pytanie brzmi: jak wybrnąć z tego niezawinionego przez nas faux pas?

Tylko nie panikować. Zachować spokój, pokazać naczelnemu pogodną i uśmiechniętą twarz. Przecież nie ja jestem odpowiedzialna za zaistniałą sytuację. Nie podlega dyskusji, że niezręczną sytuację należy uratować, ażeby zachować twarz.

– Wracając do spraw firmowych: mam dla pani oraz dla inżyniera Haberlle dwie propozycje służbowego wyjazdu z projektantami – zrobił krótką pauzę, podkreślając ważność sprawy. – Wiem, że niezbyt pałacie do siebie sympatią... Tak! Tak! To nazbyt widoczne.

– Ależ... – chciałam oponować, lecz on, uśmiechając się, dodał, że nie podziela mojego zdania. Wiedziałam swoje.

– Odłóżmy osobiste animozje do szuflady. Trzeba przyznać, że jest dobrym fachowcem, a takich firma potrzebuje. Mówmy o pracy, dobrze?

Zakończył poleceniem „załatwienia” Chińczyków

oraz spotkaniem w gabinecie o trzynastej i, zadowolony z siebie, opuścił biuro, nie zamykając za sobą drzwi. Szklanę z niedopitym sokiem zabrał z sobą.

Chińczyków zastałam rozpartych w wygodnych krzesłach przy suto zastawionym stole w towarzystwie technologa oraz jednego z projektantów, pograżonych w rozmowie przerywanej gromkim śmiechem. Widząc ich zadowolonych i sytych, co widać było po pustych talerzach i napelnionych kieliszkach, przeprosiłam w imieniu naczelnego, który najpóźniej za godzinę miał być w Firmie.

– Otrzymałam telefoniczne polecenie, aby zająć się panami – rozpoczęłam, witając trzech sympatycznie wyglądających, skośnookich mężczyzn w nienagannie skrojonych garniturach, pachnących dobrymi perfumami. – Mam uprzyjemnić panom czas oczekiwania, lecz widzę, że koledzy z powodzeniem spełniają rolę gospodarzy.

Chińczycy, jak przystało na ludzi Wschodu, przepraszaali za zbyt wczesne przybycie, za nieustaloną dokładnie godzinę spotkania, próbowali tłumaczyć, że są winni nieporozumienia, za które przepraszają. Wspólnie wybrnęliśmy z panicznej sytuacji. Spotkanie odbyło się zgodnie z terminem. Po ponownych przeprosinach obu stron, Chińczycy poszli w towarzystwie Lutza pozwiedzać Firmę. Wyjeżdżali następnego dnia w południe, mając w kieszeni podpisany przez Firmę kontrakt na cztery spalarki selenu, służące do produkcji zwierciadeł słonecznych, na którym to kontr-

akcie Firma zarobi ponad ...naście milionów dolarów na czysto. Ile zarobią Chińczycy pozostanie tajemnicą. Obydwie umawiające się strony były w każdym razie zadowolone.

Gabinet naczelnego składał się z trzech przylegających do siebie pomieszczeń z dwoma wejściami. Jedno z korytarza, drugie z gabinetu naczelnego, gdzie odbywały się spotkania i narady z kierownikami poszczególnych działów. Nasze spotkanie trwało zaledwie dziesięć minut z półgodzinnym haczykiem, naczelny rozdzielił pomiędzy obecnych, pomijając inżynierów Haberlle, Wischniewskiego oraz mnie, kolorowe teczki z zadaniami i pożegnał ich sakramentalnymi słowami o zachowaniu dyskrecji, opracowaniu zwięzłych, jak na inżynierów przystało, odpowiedzi na zawarte w teczkach pytania, a także poinformował o spotkaniu wyznaczonym na jutro. Nam kazał pozostać.

– Ażeby nie przedłużać... – zastrzegł na wstępie.
– Postanowiliśmy wysłać w przyszłym tygodniu dwa zespoły w podróż służbową. Jeden do Chin, by dopilnował montażu naszych urządzeń współpracujących z piecem hutniczym. Należy położyć szczególny nacisk na montaż sterowników i siłowników. Drugi zespół po dokonanej przez fachowców analizie kilku zakładów, mogących wchodzić w rachubę jako nasi potencjalni kooperanci, pojedzie w inne miejsce.

– Pan, inżynierze Haberlle, pewno chciałby pojechać do Chin z panią Vogel, lecz bardzo mi przykro, dwóch fachowców do tego samego zadania... Sam pan rozumie.

Wysyłamy pana do Szanghaju. Resztę szczegółów omówi z panem doktor Lutz. To tyle, ale proszę jeszcze chwilę pozostać. Co do was... Nie leciecie do Chin, ani Francji czy Italii, gdzie świeci słońce i szumi błękitne morze. – Naczelnny starał się być czasami dowcipny. – Lecz za miedzę, do Polski. Dołączy pani Klein z analizy rynku. Szczegóły proszę ustalić z moim zastępcą. Nie trzeba chyba przypominać wam o przedłożeniu zwięzłego raportu.

Pożegnał nas skinieniem ręki i... już po naradzie. Najbardziej zadowolony z naszej trójki był Haberrle, który wcale nie przejawiał ochoty do latania w moim towarzystwie. Oscylował w stronę innej spódniczki. Dwa tygodnie minęły jak z bicza trzask. Pierwszy zespół wylądował już dawno w Chinach, nadszedł też termin naszego odlotu do Warszawy. Służbowym mercedesem naczelnego odwieziono nas na lotnisko Tegel, skąd liniowym boeingiem Lufthansy pofrunęliśmy na spotkanie z niewiadomym i z Warszawą.

Mój Kuba wziął dwa dni urlopu w instytucie, Zosia cała w skowronkach została sama z kochanym Tatuśkiem. Przez kilka dni będzie niekwestionowaną Panią domu, nareszcie będzie miała spokój, nikt nie będzie gderał i stawiał jej na baczność.

Henryk Cyprian Konkol

Autor urodzony w Wejherowie. Pisze opowiadania, baśnie kaszubskie i bajki, utwory historyczne, literaturę faktu, powieści obyczajowe, historyczne i autobiograficzne oraz dramaty i pastoralki. Brał udział w wielu Konkursach Literackich otrzymując dotychczas ponad 40 nagród i wyróżnień uhonorowanych m.inn. wydaniem nagrodzonych utworów w wielu Almanachach i Antologiach. W dorobku ponad 130 utworów.